Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 13 Sierpnia. Nr. 31. 32

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Indyjska bajka.

Był dzień słoneczny. Na kłosach djamentowe krople rosy, w każdej kropli słońce. Motyle jak skrawki tureckiego dywanu pływały wśród potoków słonecznego żaru, ciesząc się życiem dnia, który dla nich jest i dniem śmierci.

Szczęśliwy motyl! on nie wie że i jego czeka zgon.

Nad siną płachtą wody mruczały coś brzozy do siebie; pessymistki im zawsze źle i nudno.

W konarach, para ziemb znużona spieką dnia, odprawiała południową drzemkę.

A żółta obręcz słoneczna schodziła niżej, niżej, już zawadziła o ten bór wielki, co tam na zachodzie majaczy, zaświeciła raz jeszcze nad łysiną podzamcza i utonęła.

Panowanie dnia ustało.

Zawiał wiatr, zaszumiały drzewa, żaby rozpoczęły nucić psalmy wieczorne.

Z pod konarów, listków poczęły wyskakiwać cienie; zrazu trwożne, nieśmiałe, w coraz gęstsze zbijały się gromady, zaroiło się od nich.

Noc.

Szłaś oparta na mem ramieniu, zasłuchana w pieśni sennej przyrody, rozmodlona w jej czarze. Wielka modlitwa, bo i kościół wielki.

Wśród liści drzew, wśród kłosów traw poczęły się ukazywać istoty z maleńkiemi latarniami; niebieskie światełka zapalały się nagle, świeciły chwilkę i gasły.

„Opowiedz pan co o tych światełkach“ prosiłaś, „skąd biorą się te lampki i co w nich świeci?“

Powiem com słyszał.

Nad brzegami Gangu, tam gdzie garść ryżu wystarczy do obsiania pola, gdzie w szczelinach skał błyszczy brylant, zamarzłej łzy kropla i rubin kryształ krwawy, gdzie w głębinach srebrnych jezior rośnie koral; i perła się pławi, tam w tej cudnej wiecznie zielonej krainie, żyło dawno, bardzo dawno, dwoje ludzi. Mieli wszystkiego dosyć, bo miłość mieli, ale nie długo ich szczęście trwało. Jakaś ponura zaduma chwyciła młodego Inkasa. Siadał na pniu przy chacie i zapatrzony w mosiężną tarczę księżyca zapominał o świecie. Kobieta płakała, prosiła — nic go z zadumy nie zdołało uwolnić. „Znasz ten kwiat, co go lotosem zowią,“ przemówił wreszcie. „pójdę go szukać i znajdę“. „Na co ci kwiatu, najdroższy, na co ci szczęścia nieznanego. Nie żal ci chaty, rzeki, nie żal mnie! Nie idź!“ Inkas zacisnął zęby, dławił się łzami, aż pewnej nocy uciekł cichaczem. Uciekł i nie wrócił więcej. Kobieta czekała więdła, marniała, wreszcie znikła i ona.

I odtąd każdej nocy gdy miesiąc nie świecił, widziano jak światełko małe ukazywało się w chacie,posuwało ku zaroslom nadrzecznym i niknęło wśród nich.

Ludzie patrzyli, kiwali głowami i mówili że Inkas szuka gdzie jedyna. Zapóźno!

Do uszu mi szept doleciał: „Panie! nie idź szukać lotosu“.

Moje usta poszukały skąd szept dochodził: „Jedyna moja ja go już dawno znalazłem“.

Salve Regina.

...A potem, pamiętam jak siwy kapłan ujął mnie za rękę i mówił:

„Módl się mój synu!“ Słyszałem jak odmawiał z wolna słowa wielkiej modlitwy:

„Ojcze nasz“ — potem wciśnięto mi w dłonie świecę gorejącą i powiedziano:

„Skończył!“

Przez okno zaglądał miesiąc; blada jego twarz dziś bledszą jeszcze była, a może mi się tylko tak zdawało. Przez otwarte okno wpadał do izby zapach, ten dziwny, nieokreślenie słodki zapach rozkwitającej wiosny. Była w niem woń naszych łąk, pól, ogródka, kwiatów co pod oknem rosły.

Powiedziano: „Skończył, a przecież ten wieczór cichy, wiosenny, wydawał mi się bardziej słodkim niż kiedy pamiętam. Spokój czuł każdy nerw mój, każde mózgu włókienko.

Zamknęli drzwi, przy mnie dziad usiadł stary — zasnął.

Zdala poczęły dochodzić głosy wieczornej pieśni. Przyroda senna grała.

Muzyka boska wdzierała się w mą istotę; był w niej szum przeczysty gaju i ponura boru piosenka; melodje zebrane z czystych tonów leśnych i szmeru wód i szumu chmur.

Nie oddychałem, a czułem, żę pierś mi chce rozsadzić. Wrażenia dziwne, nieznane, a straszne zączęły świdrować po czaszce. A potem znów nastąpił spokój, cisza.

A potem wniesiono skrzykę podłużną, czarną, i złożyli mnie do niej.

Słyszałem jak gwóźdź wpadał pod młotu ciosami; przybijali wieko.

A potem nie wiem co było.

A potem, długo potem słyszałem, jak głos jakiś prosił, by mnie jeszcze otworzyli na chwilę. I znów odpadło wieko; czułem jak dwa ramiona miękkie padły mi około szyi, usta gorące dotknęły mych ust, fala jedwabistych włosów muskała twarz — a potem głos, co mi był droższym nad życie samo szeptał: „Bywaj mi zdrowy...“

A potem dwie gorące łzy padły na me policzki; łzy co mnie piec poczęły jak rozpalone węgle i czułem jak pod wpływem tych dwóch łez kobiecych wybiegła iskra życia, gdzieś z mrocznych przepaści mózgu, i wbiegła zkrwią do serca, czułem jak gorącej krwi fala tłuc się poczęła w mych żyłach, jak opuszczał mnie tężec w którym leżałem, otwarły się powieki.

Jedyna moja ja żyję.

Z dala czarny tłum księży rozpoczął właśnie nucić:

„Salve Regina.“

Liwocze.

Lato w Watykanie.

Pod tym tytułem znajdujemy w jednym z poważnych dzienników kilka ciekawych szczegółów o trybie żywota ojca św. podczas miesięcy letnich.

Tryb ten, ze względu, iż Leon XIII-ty nie wydala się po za obręb Watykanu, nie ulega większym zmianom, zawsze jednak w czasie upalnych miesięcy letnich korzysta Ojciec św. więcej nieco, niż zwykle, z ogrodów watykańskich i zarzywa chętnie rodzaju „dolce far niente“.

Przedewszystkiem, na czas lata, zawiesza większą część udzielanych audjencji, pomimo to jednak tryb życia pozostaje bardzo pracowitym.

Ojciec św. wstaje już o 6 zrana, poczem zaraz celebruje mszę w swojej prywatnej kaplicy. O 7 spożywa śniadanie: filiżankę czekolady z mlekiem i od czasu do czasu parę jajek na miękko. Następnie przyjmuje dygnitarzy swego dworu i konferuje z sekretarzem stanu, który zdaje sprawę z bieżących kwestji oraz z listów nuncjuszów i delegatów apostolskich, przedstawiając zarazem projekta odpowiedzi, jakie mają być dane. Kardynał sekretarz stanu zazwyczaj tak zgadza się w zdaniu z Jego Świątobliwością, iż rzadko kiedy papież zmienia cośkolwiek w przygotowanej odpowiedzi.

Jednem z ulubionych zajęć Ojca św., zwłaszcza gdy chce dać wypocząć myśli, jest odczytywanie rozlicznych listów, jakie katolicy całego świata do niego zwracają. Większość korespondentów — to kapłanie, misjonarze, mnisi różnych zakonów, którzy spieszą z groszem Piotrowym, oraz nieszczęśliwi proszący o błogosławieństwo, łaskę, pomoc a nawet o rady. Listy te oczywiście pisane są we wszelkich możliwych językach, w Watykanie zaś bywają tłumaczone i katalogowane, spisu zaś tychże, wraz z krótką ich treścią, słucha zwykle Ojciec św. z wielkiem zainteresowaniem, gdy mu je sekretarz odczytuje. Prawie wszystkie takie listy składane są w archiwum watykańskiem o odpowiedzi bowiem na każdy z nich nawet i marzyć nie można, gdyż tysiące rąk trzebaby zaprządz do tej olbrzymiej pracy.

Oprócz tej listownej korespondencji, otrzymuje Jego Świątobliwość codzień znaczną bardzo liczbę telegramów, a w większości z nich bywa prośba o błogosławieństwo „in articulo mortis.“

W ogóle w telegramach, przeznaczonych dla porozumienia się ze swymi nuncjuszami i delegatami, posługuje się Watykan kluczem, którego dotąd żadnemu z gabinetów ministerjalnych odcyfrować się nie udało, jakkolwiek w kancelarjach tych gabinetów nie brak ludzi wprawnych w tej sztuce. Zazwyczaj depesza watykańska zawiera tylko imię, nazwisko i miejsce zamieszkania adresata, reszta — to liczby, tekst samej depeszy więc przedstawia się np. tak: 1856759?214367000995 — i to bez żadnych ustępów, albo kropek i przecinków. Dyplomacja europejska utrzymuje też, iż Watykan posługuje się kilkoma kluczami, którę stosują się do tabeli liczbowej, są bardzo często zmieniane i nuncjatorom co miesiąc komunikowane.

Po konferencji dyplomatycznej z sekretarzem stanu wypoczywa Jego Świątobliwość przez czas pewien, poczem o 1-szej zasiada do stołu, spożywając ze znanem dobrze i istotnie niezwykłem umiarkowaniem. Po wstaniu od stołu, oddala się Papież do swych pokojów, gdzie na spoczynku i modlitwie spędza najgorętsze godziny dnia upalnego.

Pomiędzy 5 a 6 popołudniu, w otoczeniu kapelanów i straży przybocznej, udaje się do ogrodów, gdzie u wejścia czeka go powozik z gwardją szlachecką. Na wzgórku, w najpiękniejszem ustroniu parku zatrzymuje się Ojciec św. we wspaniałym kiosku, w stylu wschodnim wzniesionym, gdzie spędza z otoczeniem dworu swego kilka godzin, przyjmując tu kawę i chłodniki, przy pouczającej rozmowie. Najwięcej interesują wówczas papieża wieści o wypadkach dnia, a z ciekawością wypytuje o sądy gazet zagranicznych o polityce watykańskiej.

Zaraz po zachodzie szczupły ten orszak podąża do willi, zwanej „Leona XIII-go“, gdzie Jego Świątobliwość podczas lata przebywa. O godz. 10 spoczywa już Ojciec św. w łóżku, przy jąwszy poprzednio posilne choć skromne pożywie i spędziwszy pół godziny w modlitwie na klęczkach. Kamerdynerowie i gwardja szlachecka opuszczają wówczas willę, pozostają tylko na straży około willi szyldwachy, z nabitą ostremi ładunkami bronią, strzegąc niezamąconej ciszy nocnego spoczynku Ojca św., o co modli się codzień po świecie tyle miljonów wiernych.

Z kampanji włoskiej.

Pułkownik Stoffel, znany z roli, jaką odgrywał w Niemczech i we Włoszech przed wojną

w r. 1870 napisał niedawno pamiętniki. Zanim całość wyjdzie z druku, jeden z dzienników paryskich ogłasza urywek, w którym znajdujemy następujący epizod z kampanii włoskiej:

W dniu 1 czerwca 1859 r. (na trzy dni przed bitwą pod Magentą) drugi korpus gwardji zajął pozycję pod Nawarą, gdzie umieściła się główna kwatera. Tegoż samego dnia korpus czwarty, dowodzony przez generała Niela, wygonił z Nawary dwa bataliony austryackie, stojące tam garnizonem i stanął o pół mili od miasta, zwrócony frontem ku południowi, przy drodze do Mortara.

Trzy dywizje składa ace ten korpus, obozowały w następujących miejscowościach: Dywizja generała Failly w Bicocca, dywizja generała Vinoy wyprzedzała poprzednią, wreszcie dywizja generała Luzy de Pellissac obozowała w Torrione-Quartara. Generał Niel stanął kwaterą w La Bicocca i wraz z oficerami swego sztabu zamieszkał w osobnym domu przy drodze.

Podówczas byłem jego oficerem ordynansowym, a dowódca batalionu, Parmentier mój kolega ze szkoły w Metz, obecnie generał dywizji, był pierwszym jego adjutantem. W nowem mieszkaniu zainstalowaliśmy się obaj, jak mogliśmy najwygodniej i gawędziliśmy właśnie, siedząc na progu domu w porze południowej, gdy nagle zobaczyliśmy zajeżdżającego galopem koniuszego cesarza pułkownika Davilliers. Polecono mu zawiadomić generała Niela, że cesarz wyjechał z Nawary i za kilka minut stanie w La Bicocca. Istotnie w parę chwil później dał się słyszeć turkot i ciężki powóz, zaprzężony w dwa konie, zatrzymał się przed domem. Powoził stangret bardzo korpulentny, ubrany po cywilnemu. Był to niejaki C., główny szpieg armji. Cesarz wysiadł. Z nim razem przybyli dwaj adjutanci polowi: Tave i Vaubert de Genlis, oraz adjutant przyboczny, generał Martimprey.

Porozmawiawszy przez chwilę z generałem Niel, cesarz rzekł: „Jesteś pan tu na polu bitwy pod Nawarą" i wyraził życzenie zwiedzania okolicy. Generał Niel kazał sobie prędko osiodłać konia, Parmentier i ja uczyniliśmy to samo. Cesarz wsiadł do powozu z towarzyszącymi mu generałami, generał Niel jechał po prawej stronie drzwiczek, komendant Davilliers po lewej, Parmentier i ja trzymaliśmy się cośkolwiek z tyłu. Konie biegły wolnym kłusem.

Droga z La Bicocca do Vespolate ciągnie się z początku w linji prostej przez okolicę prawie płaską do Olengo, miasteczka, znajdującego się w odległości dwóch kilometrów. Teren, zupełnie odsłonięty po lewej stronie drogi, po prawej odrywały trochę tu i ówdzie rozrzucone kępy drzew.

Wspominałem już, że dywizja generała Failly obozowała na lewo od La Bicocca. Gdy powóz mijał tę wieś, żołnierze poznali cesarza. Ujrzeliśmy, jak biegli jedni za drugimi, ustawiali się nad małym rowem około drogi i pozdrawiali cesarza głośnymi okrzykami. Nie upłynęło dziesięciu minut od chwili naszego odjazdu, gdy ujrzeliśmy się nagle osamotnieni na rozległej płaszczyźnie. Wokoło nas panowała głęboka cisza nigdzie na prawo ani na lewo nie mogliśmy dostrzedz posterunku lub pikiety. Wszystko zdawało się wskazywać, iż minęliśmy linię placówek, chociaż nie ujechaliśmy więcej jak trzysta metrów do obozu dywizji. Cesarz był bez eskorty.

— Czy to są pańskie placówki najbardziej wysunięte? — zapytał generała Niela wskazując ręką za siebie na pierwsze straże dywizji Failly.

Generał Niel zrozumiał wymówkę na jaką naraziło go niedbalstwo dowódców dywizji, którzy nie rozstawili placówek dalej jak w odległości trzysta metrów od swych pozycji, i odrzekł coś czego nie dosłyszałem.

— Należy rozstawić straże trochę dalej — rzekł cesarz ze zwykłą sobie słodyczą.

Tymczasem konie szły dalej wolnym kłusem. Przybliżamy się do Olengo, gdy cesarz rozkazał woźnicy zawrócić. Po chwili dążyliśmy na powrót do La Bicocca. Tam cesarz pożegnał się z generałem Nielem i u lał do Nawary.

W trzy kwandranse po powrocie, gdy przechadzałem się po podwórzu naszego domu z generałem Parmentier, nagle przybiegł do nas kapitan piechoty, cały zakurzony, zadyszany i oblany potem.

— Gdzie generał Niel? — wymówił z trudnością, łapiąc oddech. Cesarz uszedł niewoli... Cała kompanja Austryaków... Jestem posłany przez generała brygady, by powiedzieć to generałowi Nielowi... gdzie on jest? Zaprowadzcie mnie do niego!

Zdziwieni niewymownie, pomimo, iż mieliśmy chęć wypytywać, zaprowadziliśmy go niezwłocznie, sami zaś zatrzymaliśmy się w sieni, z której drzwi prowadziły do pokoju generała. Rozmowa z kapitanem, jak to niebawem usłyszeliśmy, była bardzo ożywiona. Ze słów, wymawianych bardzo głośno, mogliśmy wnioskować, że generał Niel nie chciał wierzyć temu, co słyszał, a kapitan wytrwale obstawał przy swojem. Słyszeliśmy kolejno wykrzykniki jednego — to znów drugiego.

— Ależ kapitanie! straciłeś głowę.... Przyjdź do siebie... Źle widziałeś.. to niepodobieństwo!

— Nie, generale. Wiem, co mówię. Widziałem stu pięćdziesięciu Austrjaków, ukrytych w lesie. Pięćset kroków dalej, a cesarz byłby zabity lub wzięty do niewoli.

Po upływie dziesięciu minut kapitan wyszedł od generała Niela. Zarzuciliśmy go pytaniami. Był cały jeszcze wzburzony rozmową z generałem.

— Tego za wiele — mówił. — Utrzymuję, że cesarz mógł wpaść w moc całej kompanji Austrjaków, których jestem pewny, że widziałem, a generał nie chce wierzyć i mówi mi, żem zwarjował.

Uspokoiwszy się cokolwiek, opowiadał nam co następuje:

— Znajdowałem się w pobliżu drogi, gdym ujrzał przejeżdżającego cesarza. Paląc fajkę machinalnie dążyłem za powozem, a ponieważ konie biegły wolno, nie traciłem go ani

na chwilę z oczów. Widziałem dokładnie, kiedy powóz zakręcał i w tej samej chwili ujrzałem o pięćset kroków dalej 100 do 150 Austrjaków, którzy do tej pory ukryci w kępie drzew po prawej stronie drogi, wychylili się z gąszczy, by lepiej obserwować, pozostawali parę sekund w tej pozycji i następnie znikli. Gdyby powóz podjechał o pięćste kroków dalej, cesarz byłby zabity lub wzięty do niewoli.

Opowiadanie to tchnęło taką szczerością iż nie można mu było nie dać wiary, to też długo nie mogliśmy ochłonąć z podziwu.

Gdy kapitan wyszedł, generał Niel zbliży się do nas.

— A więc słyszeliście, co ten oficer opowiada? To straszne. Cesarz wzięty do niewoli o kilometer od linii czwartego korpusu. Włosy stają mi na na głowie, gdy o tem myślę.

Nazajutrz zarządzony manewr pozwolił nam przekonać się, iż raport kapitana piechoty był w najdrobniejszych szczegółach prawdziwy. Po południu, dnia 1 czerwca, generał Niel otrzymał z głównej kwatery rozkaz zrobienia całym korpusem rekonesansu do Vespolate. Wojska ruszyły drogą, która cesarz jechał dnia poprzedniego w kierunku Olengo. Parmentier i ja śledziliśmy uważnie ślady kół powozu aż do miejsca zakrętu. Jeżeli opowiadanie kapitana było prawdziwe, oparęset metrów ztamtąd powinni byliśmy znaleść świeże ślady nieprzyjaciół i resztki obozowiska.

W d. 2 czerwca przebiegliśmy wzdłuż kolumn czwartego korpusu, nie wtajemniczając nikogo w cel naszej wyprawy. Znaleźliśmy się wreszcie w kępie drzew po prawej stronie drogi. Jakież było nasze zdumienia, gdy ujrzeliśmy tam ślady świeżo opuszczonego obozu. Trawa była wygnieciona na znacznej przestrzeni, ogniska paliły się jeszcze. Nie było wątpliwości, iż przeszło stu Austryaków obozowało tu przez dzień i noc poprzednią i gdyby cesarz pozwolił woźnicy zrobić sto obrotów kół więcej, znalazłby się w samym środku półkompanji austrjackiej.

Wieczorem opowiedzieliśmy generałowi Nielowi wszystko, cośmy widzieli. Generał rzekł na to:

— Dreszcz przejmuje mnie na myśl, co się stać mogło. Niech to pozostanie między nami... Brudną bieliznę trzeba prać u siebie w domu.

Od tej pory Niel nie spuszczał się na generałów dywizji, gdy chodziło o rozstawienie wart.

Ten epizod wojny włoskiej nieznanym jest do tej pory przynajmniej w szczegółach, a generał Parmentier i ja jesteśmy dziś jedynymi świadkami opowiedzianego wydarzenia.

W siedm lat po wojnie włoskiej zapytałem cesarza czy wie, jakiego uszedł niebezpieczeństwą w d. 1 czerwca 1859 r. i gdy odpowiedział mi, że słyszał coś o tem pobieżnie, prosiłem o pozwolenie opowiedzenia szczegółowo całej historji. Gdy skończył, cesarz rzekł zamyślony:

— Co jednak mamy sądzić o wydarzeniach tego świata?

— Zarówno jak o losie i opinji ludzi — odważyłem się dodać.

— To prawda — odrzekł cesarz. — Gdyby mnie wzięto do niewoli, Niel byłby zgubiony w opinii i pozbawiony czci, jako żołnierz. A jednak byłoby to zarówno moją winą, jak i jego.

Pesymizm młodzieży.

Przy rozdawaniu nagród w liceach paryskich i wersalskich minister oświaty p. Leygnet wygłosił w sali nowej sorbony przemowę, w której mówił też o pesymizmie, panującym wśród młodzieży: „Żyjemy w takich czasach, że powinniśmy to sobie uważać za szczęście. Życie umysłowe nie było nigdy bardziej rozwinięte, walka o idee nigdy zaciętszą. Każdy dzień przynosi nauce nową prawdę, każdego dnia umysł ludzki rozszerza swój widnokręg a filozoficzne i społeczne kwestje sporne, roztrzygane są nietylko w kołach uprzewiljowanych, ale i w masie ludu. Wprawdzie związane są z tem pewne niedogodności. Myśl upaja jak zapach wina, a nie wszystkie głowy są tak mocne, by mogły znieść to upojenie. Ztąd powstają w pewnych godzinach owe napady osłabienia i nagłe szarpania się opinji publicznej, które powodują zamęt. Jest to, jak mówią, jedno z niebezpieczeństw, przywiązane do demokracji. Wykształcenie rozprószy je zdrowy rozsądek i rozum zwyciężą zawsze u ludu. Ale zwracają nam uwagę na gorsze jeszcze zło, które opanowałe wykształcone klasy i sfery, zresztą całkiem zdrowe. Można o niem mówić, bo nie jest ono tak głęboko zakorzenione, by w nas wzbudzać obawę i czas jeszcze je wyplenić. Mówią, że wśród uczącej się młodzieży objawia się pewien przesyt życia, pewien nieokreślony i bolesny pesymizm. Tak, istnieje taka rozczarowana i melancholijna młodzież, jest ona stara i zniedołężniała, zanim życie zaczęła, osłabła ona i straciła odwagę, zanim rozpoczęła walkę; trwoni siłę swoją na gonitwę za urojeniami i jest tylko cieniem młodzieży. Niemoc jej jest dziwaczną, a ona tę niemoc swoją lubi. Poeci i artyści oddają cześć jej nieuleczalnej melancholji i głoszą, że życie jest czcze i próżne.. Po zmierzchu bogów ukazują nam zmierzch ludów. Najdziwniejszem w tem jest to, że zaraza owa szerzy się w szeregach tych, którzy najmniej mogą się uskarżać na życie i społeczeństwo Cóż to za choroba, i po czem ją można poznać? Jest to rodzaj ogólnego odrętwienia, a cechą jego charakterystyczną utrata wszelkiego ideału i wstręt do każdego wysiłku. Człowiek który dojdzie do tego punktu jest stracony. Powody tej nowej choroby są liczne, a jednym z głównych jest niewątpliwe szerzenie pewnej mglistej zgorzkniałej filozofii i owego sceptycznego, szyderczego dylentantyzmu, które zniechęcają dusze, zabijają w nich każdy szlachetniejszy poryw i łamią w końcu siłę woli. Strzeżcie się młodzi, przyjaciele! Jakież wspomnienia młodości mieć będziecie, jeśli w dwudziestym roku życia młodymi nie będziecie.